



- Nazywam się Regina Jasińska, z domu Krzyżanowska. Urodziłam się 31.01.1929 r. w Michalinie, powiat Kostopol, ^{na Ustyniu. U Kostopolu} mieszkałam wraz z Rodzicami: Weroniką i Józefem oraz trójką rodzeństwa: Tadeuszem, Gertrudą i najmłodszym z nas - Zbigniewem. Wywieziono nas z domu 13 kwietnia 1940 roku.
- Czy w jakiś sposób uzasadniono Waszą deportację ?
- Nie. Pamiętam, że tego dnia nad ranem przybiegła do nas koleżanka mojej siostry i mówi: "Pakujcie się, bo będą Was wywozić". I faktycznie - za jakieś 2 godziny przyszło do nas trzech NKWDzistów i jeden z nich (tłumacz) kazał nam w ciągu 15 minut zapakować niezbędne rzeczy. No, ale my już byliśmy spakowani. Wtedy kazał nam rozpakować tobołki, żeby sprawdzić, czy nie schowaliśmy broni.
- "Jaką broń ? " - powiedziała moja Mama. "Zobaczcie, ja tu mam gromadkę dzieci, na co mi broń? ". Jeden z nich pomacał nasze bagaże i stwierdził, że nie musimy ich rozpakowywać.
- Mieszkaliśmy niedaleko dworca kolejowego. Nasz dobytek załadowaliśmy na podstawioną furmankę i pojechaliśmy na stację. Wagony towarowe były już podstawione. Załadowali nas do tych wagonów i ruszyliśmy w drogę.
- Jak wyglądała podróż?
- Załadowano nas po 60 osób do wagonu tak, że mój brat i siostra musieli stać, bo nie było miejsca, gdzie się położyć. W wagonie nie było ubikacji, tylko dziura w podłodze. Na początku było to dla nas bardzo krępujące i zasłanialiśmy się jakimiś kapami, bo przecież wstyd było załatwiać się na oczach tyłu osób. Potem od strażników pociągu dostaliśmy blaszaną rurę, żeby ją wstawić w ten otwór.
- Razem z nami jechała Pani Pusiakowa, która miała dwutygodniowe dziecko - synka Stasia. Jakimś cudem dziecko się uchowało, przeżyło z nami cały ten czas, gdy byliśmy w Rosji. Ale w pociągu niemowlę ciągle potrzebowało pieluszek. Ponieważ nie było ich gdzie suszyć. mokre pieluszki ludzie rozkładali sobie na plecach, aby przeschnęły. Do każdego wagonu z Polakami dołączono po 3 - 4 rodziny Ukraińców, którzy byli do nas bardzo nieprzychylnie nastawieni. Ciągłe psioczyli na Polaków, że ich gnębili przed wojną i.t.p. Ciągłe coś między sobą szeptali i nikt nie był pewny, czy kogoś w nocy nie pozażynają. Więc starsze panie nie spały w nocy, tylko na zmianę dyżurowały -

pilnowały.

Oświetlaliśmy wagon "kopciłką" - z wełny robiło się knocik, wlewało trochę ropy i zapalało. To się tak kopciło i stanowiło rodzaj bardzo słabego oświetlenia.

W ciągu całej podróży dali nam jeść tylko dwa razy. Pożywialiśmy się tym, co każdy wziął z domu albo wymieniał za rzeczy ze strażnikami.

Z wagonów nie wypuszczali nas wcale - można było tylko wyjść po wodę. Wtedy mój brat przynosił wodę w wiadrze. Dwa razy w ciągu całej

podróży wyganiano nas do bani - do łaźni. Kazali rozbierać się i nago wchodzić do łaźni. Kobiety wstydyły się i zasłaniały ręcznikami, ale oni zdzierali je. Ja z moją siostrą i innymi dziewczętami wstydyliśmy się i nie chcieliśmy wychodzić z wagonu, chociaż Rosjanie krzyčili na nas. Wtedy Mama mówiła, że jesteśmy chore.

W końcu przejechaliśmy Ural. Za Uralem to już jest dzicz; gdzieś tam tylko rosły karłowate drzewka, a dalej był już tylko step.

- Dokąd Was w końcu wywieźli ?

- W końcu trafiliśmy do Północnego Kazachstanu. Tam były okropne warunki i straszliwy mróz. Pamiętajmy, że był to właśnie okres wczesnej wiosny. Znacznie lepiej było tym, których wywieźli do Południowego Kazachstanu. My dojechaliśmy do maleńkiej osady składającej się z kilku lepianek z maleńkimi okienkami. Tam właśnie wyrzucili nas z pociągu, kazali usiąść przy torach i powiedzieli: "Poczekajcie - samochody po was przyjadą." Czekaliśmy cały dzień. Wieczorem przyjechały ciężarówki. Wrzuciliśmy na nie swoje tobołki i po kilka rodzin powiadaliśmy na samochody. Pijany szofer powiedział nam, że na tej ziemi zostaniemy już do śmierci.

Kiedy słońce już zachodziło, zatrzymaliśmy się i nasz przewodnik pokazał nam dymiący wulkan. Wrażenie było ogromne. Najgorzej jednak było, gdy przejeżdżaliśmy przez rzekę. Tam nie ma mostów - na dnie był tylko nasyp z kamieni, po którym mieliśmy przejechać na drugi brzeg. Nam się udało przejechać, ale inna ciężarówka nie trafiła na nasyp i zatonała.

O północy dotarliśmy na miejsce do kołchozu "Antonówka" w Kustonajskiej Obłasti. Mieszkali tam Polacy i Rosjanie wywiezieni z kraju jeszcze za cara. I oni przyszli nas przywitać. Rano zapadła decyzja, że każda z miejscowych rodzin ma przygarnąć jedną rodzinę przywiezionych (było nas 17 rodzin). Nas wzięło do siebie starsze małżeństwo - Szewczenkowie. Nie zapomnę tego dnia nigdy. Ta kobieta od razu kazała nam włązić na piec. Mama mówiła, że mamy pościel i położymy się na podłodze, ale skończyło się spaniem na piecu. Ta kobieta miała swoją krowę, zagotowała nam mleko i dała nam pić. Ogólnie w kołchozie nie było tak źle, gdyż to co wypracowano oddawano państwu, ale zostawały jakieś nadwyżki, które

dzielono między kołchoźników. Mieli więc trochę zboża, krowę i kury.

Niedługo po naszym przyjeździe odbyło się szczepienie przeciwko tyfusowi. Moja koleżanka, Danka, mówi do mnie: "Uciekajmy, popatrz, jak oni szczepią." Nie przestrzegano tam żadnych zasad higieny.

Stało dwóch chłopów, do których podchodzili ludzie, oni wbijali igłę między łopatki. Kobieta czy dziewczyna - to ich nic nie obchodziło - suknię do góry, głowę pomiędzy nogi i jedną strzykawką, taką jakiej używa się do szczepienia bydła, wszystkich ludzi szczepili. Dawkę uzależniano od wzrostu szczepionego: ten duży - to mu więcej szczepionki, ten mały - to mniej. Więc ja z Danką w nogi, uciekłyśmy nad rzekę.

Ale chłopcy nas złapali i przyprowadzili na szczepienie. Potem momentalnie wyskakiwała gula taka jak pięść. Mój brat, Tadeusz, dostał od tego takiej gorączki, że aż stracił przytomność. Ale potem panował straszny tyfus i my (Polacy) przetrzymaliśmy to, a Niemcy, Ukraińcy, Tadzycy, Ingusze i Tatarzy padali jak muchy. Mój brat wskutek tego został grabarzem i zimą, kiedy ziemia była zmarznięta na metr głębokości, musiał radzić sobie jakoś z wykopaniem dołu, bo kilofa nie było. Wrzucał po kilku ludzi do jednego dołu. Ja - jako dziecko - z początku nie pracowałam. Mama i rodzeństwo pracowali od świtu do nocy. Nie było tam żadnego kalendarza, nie wiedzieliśmy, czy to piątek, czy świętek. Gdy Mama wracała z pracy, już spaliśmy. Rano też, gdy wychodziła do pracy, jeszcze spaliśmy. Wraz z najmłodszym bratem chodziliśmy nad rzekę (przepływała tam rzeka Toboń). Ja prałam, brat łowił ryby i to był cały nasz raj.

W "Antonówce" mieszkaliśmy od maja do września 1940 roku. We wrześniu wywieziono nas do sowchozu Pokrowskiego na fermę nr 3 Ordżenikidżewskiego rejonu. Tam był już tylko pusty step i ferma - t.j. stojące z dwóch stron polnej drogi lepianki z gliny i obory dla bydła.

- Jak wyglądało życie w sowchozie ?

- Tam naszym - dzieci - obowiązkiem było zbieranie kiziaku, krowiego suchego nawozu, aby było czym palić podczas zimy. Lato tam jest bardzo krótkie, natomiast zima bardzo długa.

W lecie trzeba też było zbierać szczaw. Niebyło tam co jeść, więc Mama gotowała ten szczaw na gęsto i na rzadko, często bez soli, bo i tego czasem brakowało. Gotowaliśmy też trawę - rdest ptasi. Ci, co pracowali, dostawali 135 g zboża (to jest garść) na cały jeden dzień. Nawet tego nie dawali regularnie, tylko z kilkutygodniowym opóźnieniem.

W 1941 roku, po strasznej zimie, powstało jezioro, nad którym zagnieździło się dzikie ptactwo. Wtedy mój brat chodził podbierać im jajka.

W czasie żniw zawsze ukradło się trochę zboża i to też w wielkim strachu. Taka Pani Parusowa, która mieszkała z nami w lepiance, ukradła kiedyś 2 kg zboża, za co po złapaniu i przeprowadzeniu rewizji otrzymała wyrok 2 lat więzienia. Czekaliśmy na nią bez skutku - nie powróciła

do nas. Miała dwoje dzieci - Zygmunta i Zdzicha. Nie można było zostawić ich samych; moja Mama przygarnęła tych chłopców.

W lecie zaganiali dzieci do pielienia zboża. Na jesieni natomiast zadaniem dzieci było pilnowanie świń, żeby nie wchodziły na sterty, gdzie usypane było zboże. Zboże sypało się w sterty o wysokości piętrowych bloków, pod gołym niebem. Wszystkie prace z tym związane wykonywało się ręcznie. Nie było tam żadnej mechanizacji, bo był okres wojny. Był wprawdzie jeden traktor, ale popsuty i nikt nie umiał go naprawić. Potem nadszedł czas wojny i wszystkich mężczyzn zabrano do wojska; zostały tylko kobiety i dzieci.

Mój starszy brat poszedł do armii Andersa. Gdy odchodził od nas, miał podmrażane palce u nóg. Pozłaziły mu paznokcie ze skórą. Nie było tam żadnej pomocy lekarskiej, leżał więc w lepiance, jęczał i czuć było gnijące ciało. Mama poszła do przełożonego sowchozu i opowiedziała, co się dzieje. Któż to widział, żeby przy mrozie dochodzącym do $- 50^{\circ}\text{C}$ robić ze śniegu "zadierżanie". Zmuszani byli w tej temperaturze do cięcia brył śniegu, ustawiania z tego wałów śnieżnych. Jak wiał śnieg, to zatrzymywał się na tych wałach, a po roztopach w ten sposób nawadniano ziemię. Wtedy on powiedział, że nie jest lekarzem i Mama może robić sobie co chce. Mój brat mówił: "Mamo, ja już sobie sam odetnę te kości, bo jak tylko gdzieś dotknę, to tak się czuję, jak gdyby prąd przeszedł po nodze." Ale Mama bała się zakażenia. Potem przywieźli z I fermy Niemkę, sanitariuszkę wziętą do niewoli, którą nazwano wraczem, ponieważ nosiła biały fartuch. Moja Mama znała dobrze język niemiecki, więc opowiedziała jej wszystko o swoim synu. Sanitariuszka obejrzała jego nogi i kazała natychmiast przenieść go do małego szpitala, oddalonego od naszej fermy o 12 km. Co to był za szpitalik! Wszyscy leżeli pokotem na ziemi, chorzy na tyfus i inni. Ale ponieważ ta sanitariuszka miała jakieś narzędzia i miała trochę pojęcia o medycynie, więc obcięła mu dwa palce. Mój brat musiał sam naostrzyć narzędzia, trzymać odpowiednio nogę i pomagał jej przy zabiegu. To wszystko odbyło się bez jakiegokolwiek znieczulenia. Tymczasem przyszło wezwanie do wojska. Mama z przerażeniem mówiła: "Boże, chłopaku, jak ty pójdziesz do tego wojska?". A trzeba było iść na piechotę 80 km. Brat mój postanowił, że chociażby musiał przejść tę drogę na czworakach, to już tutaj dłużej nie pozostanie. Mama uważała, że w takim stanie nie przyjmą, ale Tadeusz uparł się i poszedł tam wraz z jednym panem, który również otrzymał wezwanie. I już do nas nie wrócił. Spotkaliśmy się dopiero po powrocie do Polski, w Toruniu w 1946 roku.

W październiku 1943 roku moja starsza o 6 lat siostra dostała wezwanie do tworzącej się w Związku Radzieckim polskiej Armii. Utrzymywaliśmy z nią kontakt listowny. Była ranna, w 1945 roku została zdemobilizowana i zamieszkała w Warszawie. Obecnie jest emerytką, inwalidą wojennym,

należy do ZBOWiD i Związku Sybiraków.

Tymczasem mama, młodszy brat i ja żyliśmy nadal w sowchozie. Przewodniczący sowchozu powiedział, że on ma prawo nas osądzić, a nawet zabić i nikt mu nic nie zrobi. On był panem.

- Jak wyglądała praca w sowchozie?

- Pracowaliśmy na olbrzymiej fermie, hodowano tam 7 tysięcy sztuk bydła. Pracę zaczynało się po ciemku i po ciemku kończyło. Bardzo trudno było wstać o odpowiedniej porze - nie mieliśmy przecież zegarków. Kiedyś obudziłam się w nocy, a ponieważ księżyc świecił bardzo jasno myślałam, że jest już widno. Potem trzymaliśmy koguta pod łóżkiem. Kiedy kogut piał drugi raz, wiadomo było, że już nadszedł czas wstawania, była to godzina 4-ta.

Pracowałam wszędzie, gdzie było trzeba: i na traktorze, i na siemniku, i w stepie przy koszeniu trawy, i pasłam bydło, i pracowałam w oborze przy bydło. Tamtejsze bydło nie było hodowane na mleko, to były rasy amerykańskie, mięsne.

Latem pracowaliśmy w stepie. Ponieważ było to daleko od farmy i nie mogliśmy na noc wrócić do domu, żeby zobaczyć się z blóskimi, dowiedziałam się od "wodowoza" - t.j. człowieka, który beczką wozi wodę, że moja Mama jest bardzo chora na tyfus. Powiedziałam: "Niech się dzieje co chce, ja idę do domu. Nad ranem, jak będzie świtać, wrócę."

I poleciałam na oślep. Przewracałam się i potykałam, ale biegłam, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu i żeby się nikt o tym nie dowiedział. A przecież tam wszędzie w stepie grasowały wilki, ale strach dodawał mi sił. Na szczęście udało się dobiec do domu. **M**amusia faktycznie była bardzo chora, była nieprzytomna od wysokiej gorączki. Leżała na łóżku, a z sufitu spadały na nią pluskwy, które zabijał mój młodszy brat siedzący przy łóżku.

Na dodatek było gorąco, mama przykryta była tylko kapą. Niewiele mogłam zrobić, poprosiłam tylko jedną staruszkę, która tam była, żeby ^{od czasu} do czasu podała mamie pić. Obiecała, że zaopiekuje się mamą. A ja musiałam wracać w step. Na szczęście wkrótce potem mama wyzdrowiała.

- W jaki sposób wynagradzano Wam tę przecież bardzo ciężką pracę ?

- Praca faktycznie była katorżnicza. Pracowaliśmy tylko za jedzenie, bo pieniądz tam w ogóle się nie liczył, nie miał żadnej wartości. Jeśli ktoś wyrobił normę, otrzymywał 0,5 litra zupy. Wszystko jedno jakiej. Na tamtych terenach rosło tylko zboże - kartofle były tylko bardzo maleńkie i niesmaczne, piekące. Nie było także buraków. Za to w ogrodach sadzono marchew, pomidory i ogórki. Z tego właśnie gotowało się zupy. Dopiero potem, w latach 1944 - 45, zaczęto piec chleb dla tych, którzy wykonywali normę. Dawali wtedy po kromce

takiego gliniastego, niewypieczonego chleba. A żeby wykonać normę to ja, młoda dziewczyna, musiałam 10 razy przejść za pługiem zagon, który miał 2.200 metrów. Sześć wołów, chłopak i dziewczyna - jedno pogańiało woły, a drugie trzymało pług. A te woły ! Same szkielety, też na "normie" trzymane całą zimę. Nawet same iść nie mogły. Pamiętam, że na początku, jak nas przesiedlili, dawali nam do jedzenia dynie. Były ogromne, leżały razem z nami w lepiance, bo na dworze był mróz. To właśnie jedliśmy najpierw. A potem, kiedy przewożono zboże ze składu, to dzieci kradły. Mój najmłodszy brat był takim dostawcą. Przynosił po trochu w kieszeniach, a kiedy ktoś zobaczył go z woreczkiem, to by go zatłukł batem. Potem to zboże mieliło się u pewnego Ukraińca, który miał żarna, i z tej mąki gotowało się zalewajkę.

Moja mama po chorobie już nie pracowała. Jak było ciepło, to była stróżem, a w zimie nie robiła nic. Kiedyś z taką starszą Rosjanką zorganizowały żłobek. Wtedy akurat wszyscy musieli iść do pracy, bo brakowało ludzi i nie było z kim zostawić dzieci.

Dzieci tam było dużo. Na przykład Staś - ten, który miał 2 tygodnie, gdy nas wywozili - zaczął chodzić akurat w tym czasie, jak tam nadeszła zima. Był wiecznie chory na płuca - grało mu w piersiach jak na harmonii. Nic dziwnego - koszulinę miał do pępka, reszta była goła. Jak wybiegł na śnieg, to nogi robiły mu się granatowe. Jak się tylko zmęczył i zmarzył, wbiegał do domu, włożył pod kołdrę, nagrzał się i znowu na śnieg.

Gdy wracaliśmy, Staś miał 6 lat. Bardzo ładnie gwizdał. Naśladował wszystkie ptaki.

- Czy pamięta Pani spędzone tam jakieś święta ?
- Tam świąt nie było wcale. My nie wiedzieliśmy nawet, jaki jest dzień. Pamiętam, że kiedyś, gdy pracowałam w stepie, brat mój przyszedł do mnie z susłem, którego złapał, upiekł na rożnie i mówi: "Wiesz, że dzisiaj jest Wielkanoc ? ". Ale co mnie Wielkanoc obchodziła ? Ja chciałam zrobić normę i dostać jeść. Tak samo nikt nie martwił się o odzienie. Łata na łacie, a my to jeszcze naprawialiśmy. A ponieważ nie było nici, wyciągaliśmy włókna z lnianego obrusa i tym szyliśmy. A gdy zdechła krowa, to mój brat z niewyprawionej skóry zrobił sobie buty. jak skóra się zeschła, to obcierała nogi aż do krwi. Kiedyś złapał lisa i przyciągnął go na fermę w metalowej łapce. Cieszył się, że będzie miał porządną czapkę. Przez 6 lat, jak tam byliśmy, nie było żadnych dni wolnych.
- A czy były możliwe jakieś kontakty z krajem, z bliskimi ?
- Nie, o najbliższych nie wiedzieliśmy nic. Jeszcze zanim nas wywieźli, dostaliśmy od ojca dwa listy. Był w Ostaszkwie. po powrocie staraliśmy się odszukać ojca przez PCK. Pisałam też do ambasady w Moskwie, ale oni

powiedzieli, że nikt taki nie przebywał na terenie ZSRR. A przecież na kopercie był nawet adres i do dziś przechowuję te listy.

Później powstał w Związku Radzieckim Związek Patriotów Polskich, ale co to nam dawało ? Nie mieliśmy żadnych uprawnień. Jak ktoś mieszkał w mieście, to może jakoś korzystał z tego, ale my w tym stepie - nie. Tam była tylko praca, od świtu do nocy.

Teraz czekam tylko, aby władze Radzieckie przyznały się, gdzie zginął mój ojciec.

- Jak układały się stosunki między przybyłymi Polakami, a miejscową ludnością ?
- Czuliśmy się wszyscy jak rodzina. Obok nas, za ścianą, mieszkała Rosjanka, która kisiła kapustę ze wszystkimi warzywami. Z czasem nauczyliśmy się kisić tak jak ona. Sok z tak ukiszzonej kapusty smakował jak najlepsze wino i ratował nas przed skorbutem. Gdy wyjeżdżaliśmy, Rosjanie przyszli nas pożegnać, pomimo że nie do pomyślenia było tam nie pójść do pracy. I mimo, że bali się, nie poszli do pracy - stali szpalerem wzdłuż drogi i płakali.

Ziemia w Kazachstanie jest bardzo urodzajna. Zboża rosną takie wysokie, że człowieka wśród nich nie widać.

Na jeziorach są takie ptaki, jakich w ZOO nie można zobaczyć.

Na stepie rosną takie śliczne kwiaty, jakich żaden ogrodnik na oczy nie widział. Za to drzew i krzewów tam nie ma. Jeszcze przed wojną dwóch Rosjan przywiozło zwykłe lipy. Posadzili je sobie koło domu, pielęgowali, zimą owijali słomą. Mimo tych starań i tak im zmarły. Tam ziemia zamarzała do głębokości ponad 1 metra; mróz dochodzi do - 50°C. Jeśli pluęło się - na ziemię spadał kawałek lodu. Ale powietrze było zdrowe, czyste. Aż pisać mi się chciało, gdy przeczytałam niedawno, że niedaleko od miejsca, gdzie przebywaliśmy, wystrzelują sputniki. Przecież to jest taki piękny kraj.

- A jak Pani wspomina pierwszą wiadomość o wyjeździe ?
- To było wiosną - w kwietniu. Skończyłam tam szkołę i pracowałam w kantorze. Pewnego razu przyszedł do mnie milicjant i powiedział: "Jak będziecie wracać do Polski, to ty będziesz pierwsza wiedziała, żebyś zdążyła się spakować" . W tym czasie mieliśmy już tam prosiaczka, własne kury. Mieszkałam wtedy w maleńkiej klitce przy kantorze, żeby w każdej chwili być pod ręką. Pewnego dnia przyjeżdża milicjant i mówi mi: "Idź, powiedz mamie, żebyście się pakowali, bo jutro wyjeżdżacie do Polski." Nie chciałam wierzyć. Ale po chwili przyszedł przewodniczący sowchozu z jakimś oficerem i powiedział: "Idź i powiedz wszystkim Polakom, żeby zgłosili się do kantory, bo jutro rano wyjeżdżacie do Polski." Nie mogłam w to uwierzyć. Stałam jak

wmurowana w ziemię i z radości nie mogłam słowa z siebie wydobyć. Wreszcie ten oficer popchnął mnie i powiedział: "No idź, idź." Wtedy nerwy puściły, po twarzy pociekły mi łzy. Płacząc pobiegłam do mamy, która bardzo się przestraszyła, bo myślała, że zabierają mnie do "trud armii" (to była kara za niewykonanie jakiejś roboty). Więc mama zaczęła płakać również. Dopiero wtedy wyksztusiłam: "Mamo, już jutro jedziemy do Polski!". Nie uwierzyła mi. Nikt nie chciał wierzyć - przez 6 lat stale rozmawialiśmy o wyjeździe: "Tam już wyaożą, tam już wyjeżdżają, a stamtąd już wyjechali. To pewnie nas będą wywozić następnych." A jak doszło do tego naprawdę, to nikt nie chciał iść do kantory po papiery - nikt nie wierzył.

Kiedy Ukraińcy i Rosjanie dowiedzieli się, że tylko my odjeżdżamy - zaczęli płakać i lamentować. Najbardziej rozpaczali Niemcy. Zaprzyjaźniliśmy się z jednym z nich - felczerem - nazywaliśmy go Lońką. Przy pożegnaniu mówił nam: "Wy już jesteście swobodni, a kiedy nas to spotka?". Mówiliśmy mu: "Nie płacz Lońka, na was też przyjdzie czas."

Rosjanki płakały, ścisnęły nas i zapytywały, czy one kiedyś stąd wyjadą. Ci, którzy tam się urodzili, od nas dopiero dowiedzieli się, jak można inaczej żyć. One nie znały innego życia; cały dzień pracowały bardzo ciężko, a wieczorem - gdy mężczyźni poszli sobie do klubu, one musiały zajmować się domem i dziećmi.

Tymczasem my byliśmy już w innym żywiole, przygotowaliśmy się do podróży. Mieliśmy już wtedy własnego prosiaczka - poprosiliśmy więc jednego Ukraińca, żeby go nam zabił. Uratowało nas to potem od śmierci głodowej. Do stacji kolejowej szliśmy pieszo 150 km. Wozy z tobołami ciągnęły półtoraroczne woły, ale to były szkielety i same ledwo trzymały się na nogach. Dlatego też szliśmy pieszo. Na miejscu okazało się, że nie ma dla nas wagonów. Dwa tygodnie żyliśmy pod gołym niebem. Była zimna wiosna, leżeliśmy na ziemi przykryci pierzyną. Mama pilnowała naszych tobołków, bo niestety Rosjanie nas okradali. Kiedyś podniosłam głowę i zobaczyłam, że na perzynie leży ok. 0,5 metra śniegu. To był na szczęście już ostatni dzień spania pod gołym niebem.

W końcu Polacy zaczęli się buntować, więc Rosjanie jakoś zadziałali i podstawili nam wagony. W tych wagonach staliśmy jeszcze bardzo długo na miejscu w oczekiwaniu na transport z Karagandy, który miał być do nas dołączony. Ale w wagonach było już znacznie lepiej - mieliśmy dach nad głową, miejsce do spania, choć było bardzo ciasno.

Od głodu ratował nas wspomniany prosiaczek; poza tym otrzymaliśmy przydział mąki - po 235 g na osobę na 2 tygodnie. Herbatę parzyliśmy z rosnących tam traw. Gotowaliśmy jak Cyganie - stawiając ronderek na cegiełkach, pod którymi palił się ogień. Podobnie gotowaliśmy potem na postojach, podczas powrotnej podróży. Gdy przekroczyliśmy polską granicę, otrzymaliśmy z darów UNRA po kilogramie mąki na osobę. Mama wymieniła naszą mąkę na chleb,

prawdziwy chleb, żebyśmy mogli spróbować choć po kromeczce, jak smakuje. W Rosji jedliśmy wyłącznie takie zagniotki. Smaku tego chleba nigdy nie zapomnę.

Był rok 1946. Wracaliśmy znaną nam trasą przez rzekę Tobał. W miejscowości Denisówka w rejonie Kustonajskim w komendzie NKWD wydawano nam dokumenty w połowie pisane w języku rosyjskim, a w połowie po polsku.

Na granicy w Brześciu połowę pisaną w języku rosyjskim Rosjanie zatrzymywali dla siebie, a część polską oddano nam. W nocy przewieźli nas przez Bug. Od tego momentu stale ktoś odłączał się od transportu, jeśli miał gdzieś w pobliżu rodzinę. My dojechaliśmy do Poznania. Transport jechał dalej aż do Szczecinka, lecz myśmy też odłączyli się od niego i pojechaliśmy do krewnych do Torunia, a później na wieś (bo już od dwóch dni nic nie jedliśmy, nie mieliśmy już ani żywności, ani pieniędzy).

W Toruniu w krewnych spotkaliśmy brata Tadeusza, który z wojskiem prędzej od nas wrócił do kraju przez Afrykę, Anglię i Niemcy.

Tak skończyła się nasza bardzo długa podróż.

- Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiały. Beata Wisz i Magdalena Rydel.

26-02-1990r.

Wyrażam zgodę na wydrukowanie powyższych
wspomnień
Janińska Regina